

POLITECHNIKA WROCLAWSKA

Wykłady bez podręczników * Związek Słuchaczy Architektury * Wredne korniki * Wrocław da się lubić * Zimna wojna

Za namową dyr. Ptaszyckiego i innych osób, zapisałem się w odpowiednim czasie na Oddział Architektury Wydziału Budownictwa Uniwersytetu i Politechniki Wrocławskiej. Rektorem uczelni był wówczas prof. Stanisław Kulczyński.

We wrześniu odbyły się egzaminy wstępne dla kandydatów. Zgłosiło się 400 osób na 100 miejsc na pierwszym roku studiów. Egzaminów było kilka, ale ja znów miałem taryfę ulgową, wobec niedawnego uzyskania matury z dobrymi wynikami, i z niektórych zostałem zwolniony. Najważniejszy był egzamin z rysunku odręcznego. Należało narysować gipsową głowę faraona na postumencie. Mnie się tragicznie kojarzyły wylupiaсте oczy modelu, więc dorysowałem jeszcze groźne tło z czarnych, skłębionych chmur, przeciętych zygzakiem błyskawicy.

Jak się okazało, egzaminy wstępne zdałem z wynikiem pozytywnym i zmieściłem się w gronie stu kandydatów przyjętych na I rok studiów na Oddziale Architektury. A więc przede mną był kolejny etap edukacji, tym razem związany bezpośrednio z moimi zainteresowaniami i zamiłowaniem, które sprowadzały się do matematyki + rysunki i malarstwo + wyobraźnia przestrzenna.

Oczywiście od razu sprawiłem sobie studencką czapkę, jaka obowiązywała studentów Architektury. Mianowicie każdy wydział miał przypisane czapki w innym kolorze. Nasze były granatowe z pomarańczowym otokiem, srebrzystym sznurem oraz z małym, czarnym daszkiem. Dla fasonu nową czapkę wymiałem i wytarzałem w kurzu tak, aby przestała błyszczeć i wyglądała jak noszona od wielu lat.

Politechnika miała wtedy cztery wydziały: mechaniczno-elektryczny, chemiczny, budownictwa i hutniczo-górnicy. Obejmowała kilka gmachów przy ulicy Wybrzeże St. Wyspiańskiego, biegnącej wzdłuż rzeki Odry pomiędzy mostami Grunwaldzkim i Zwierzynieckim. W późniejszych latach uczelnia została bardzo rozbudowana, natomiast wówczas mieściła się tylko w trójkącie ulic Norwida i Łukaszewicza oraz Odry.

W dniu inauguracji roku szkolnego w październiku 1946 r. w zasadzie był już odremontowany budynek główny Politechniki z obszernym arkadowym wejściem i piękną, dużą aulą na I piętrze. Gmach mieścił kilkanaście sal wykładowych, z tego część amfiteatralnych, oraz wielką ilość pokoi biurowych, szatni itp. Wszystkie wykłady na wydziale architektury odbywały się w tym właśnie budynku głównym.

Faktycznie to dopiero po 2 latach Wrocławski Uniwersytet i Politechnika podzielił się na odrębne uczelnie: Uniwersytet oraz Politechnikę, zaś Wydział Budownictwa na dwa oddzielne wydziały: Architektury i Inżynierii Budowlanej.

Na pierwszym roku studiów architektonicznych do najważniejszych przedmiotów zaliczyć można było historię architektury, budownictwo ogólne, matematykę, geometrię wykreślną oraz rysunek odręczny i architektoniczny.

Wykłady historii architektury, prowadzone przez prof. T. Broniewskiego odznaczały się wielką barwnością, gdyż przedstawiał on rozwój architektury na szerokim tle społeczno-ekonomicznym danej epoki. Tak więc architektura muzułmańska to nie były tylko



Czapka

meczety z nieodłącznymi minaretami, kopuły, łuki, żagle, trompy i ornament arabeskowy, ale również ekspansja islamu w dobie Mahometa, podboje Persji, Egiptu, Hiszpanii oraz racjonalne podatki i tolerancja obyczajowa.

Prof. Broniewski w latach następnych był autorem całej serii książek z zakresu powszechnej historii architektury. Lecz wówczas nie mieliśmy podręczników, nie tylko zresztą z tego przedmiotu. Stąd prawie wszystkie wykłady prowadzone były metodą dyktanda. Po prostu profesorowie względnie wolno dyktowali swe wykłady, zaś studenci zapisywali je w zeszytach. I znów bardzo przydała mi się moja znajomość stenografii. Korzystałem z niej, gdzie się tylko dało, oczywiście z wyjątkiem matematyki, geometrii wykreślnej itp. przedmiotów.

Pamiętam, jak raz na wykładzie prof. Broniewskiego siedziałem w drugim rzędzie amfiteatru i notowałem stenograficznie pełne jego wypowiedzi. Miałem jeszcze zawsze nieco czasu i luzu przed kolejnymi fragmentami dyktanda, podczas gdy wszyscy inni pisali bez przerwy, pochyleni nad pulpitemi. Widocznie zaintrygowany tym profesor zszedł z katedry, przechylił się nad pierwszym pulpitem i zajrzał w moje zapiski. Uśmiechnął się i wrócił na katedrę, nie przerywając dyktanda.

Budownictwo ogólne to materiał do nauki bez końca. Obejmuje skrótowo całe budownictwo kamienne, drewniane, ceglane, stalowe, żelbetowe i wnętrza. Wykłady zaczęły się w drugim semestrze I roku i trwały przez cały drugi rok, by w trzecim i czwartym pączkować odrębnymi specjalistycznymi wykładami budownictwa stalowego, żelbetowego i wnętrza. Przedmiot obejmował wiele ćwiczeń, w ramach których rysowaliśmy elementy budowli od fundamentów po więźby dachowe.

Na szczęście dysponowałem przedwojennym podręcznikiem autorstwa W. Żenckowskiego. Podręcznik ten służył do nauki całemu pokoleniu architektów i inżynierów budowlanych. Do dziś jest on aktualny w zakresie budownictwa kamiennego, drewnianego i ceglanego. Ale w konstrukcjach żelbetowych, stalowych i robotach wykończeniowych dokonały się znaczne zmiany, zwłaszcza dotyczące stosowanych materiałów oraz technologii wykonawstwa.

Wykłady z matematyki rozpoczęły się od kombinatoryki i logarytmów. Oczywiście wtedy w rachunku logarytmicznym posługiwaliśmy się tablicami, a niektórzy także suwakami logarytmicznymi. Dziś nikt już tych narzędzi nie stosuje, zastąpił je bezpowrotnie elektroniczny kalkulator. Potem, po przypomnieniu funkcji trygonometrycznych, zagłęбилиśmy się w rachunku różniczkowym i całkowym. Jest to cały skomplikowany świat matematyki. To dzięki całkom oznaczonym możemy obliczać długość łuku, objętość i powierzchnie dowolnej figury geometrycznej: krzywych, płaskiej czy obrotowej. Na przykład amplitudy fal, kuli, śruby.

Geometrię wykreślną wykladał znakomity prof. K. Dyba, który zawsze się śpieszył. Wygłaszając aksjomaty, lub rysując rzuty i kłady różnych figur geometrycznych na tablicy, nie zwracał uwagi na to, że słuchacze się pogubili i nie nadążają za tokiem jego myśli. Zwłaszcza, że mówił cicho i trochę seplenił przy takich zwrotach jak „pęk prostych”, „płaszczyzny prostopadłe” itp. Ja siedziałem zwykle w pierwszych rzędach i słuchałem wykładów ekscentrycznego profesora jak najuważniej. I nie miałem problemów z ich zrozumieniem. Więcej, wysoko je sobie cenilem za systematykę i żelazną logikę.

Nie opuściłem też ani jednego wykładu, zaś wykładowcę polubiłem najbardziej z całego grona profesorskiego. Jak również samą geometrię wykreślną, która stała się dla mnie swoistym hobby już na całe życie. Wówczas bywało, że przed lub po ćwiczeniach rozwiązywałem na tablicy jakieś konkretne zadania, a dwóch kolegów przychodziło do mnie do domu na korepetycje.

W ramach rysunku odręcznego rysowaliśmy zwykle jakąś martwą naturę, bryły geometryczne lub gipsowe rzeźby, poustawiane przez asystenta. Chodziło o proporcje,

światłocienie, wyrazistość rysunku. Każdy z nas miał swą niedużą tablicę, na jakiej zawieszano arkusze papieru. Profesor i asystent krążyli po sali wśród rysujących i udzielali indywidualnych rad i pomocy.

W rysunku architektonicznym najważniejsze były perspektywa, pion, horyzont, akcentowanie odległości. Rysowaliśmy ołówkiem, węglem, piórkiem i patykami. Oczywiście tymi ostatnimi przy użyciu tuszu. Nasze rysunki wisiały potem w gabinetach, na salach rysunkowych, korytarzach. Zaś ćwiczenia prowadzone były na luzie, ze wzajemną krytyką i uwagami.

Cały czas podczas pierwszego roku studiów mieszkałem u siostry na ul. Spółdzielczej. Miałem bardzo dobre warunki do nauki i wypoczynku. Siostra pracowała zawodowo w centrum miasta. Z uwagi na dalekie przejazdy do i z pracy, była w ciągu dnia poza domem jeszcze dłużej niż ja. Obiady jadałem w stołówce akademickiej przy ul. Wróblewskiego na wprost remizy tramwajowej. Był to stary, parterowy obiekt z dużą jadalnią i kuchnią, pracującą zawsze na pełnych obrotach. Dzisiaj tego budynku już nie ma, za to w sąsiedztwie wyrosły wysokie akademiki.

Jadąc z uczelni, zwykle wyskakiwaliśmy z tramwaju na zakręcie przy stołówce, przed przystankiem, jeden za drugim, aby szybciej na ten obiad. Główne menu obiadowe to była kasza hreczana, jakieś warzywa i nie zawsze mięso. Gdy serwowano koninę z paczek UNRRA, to często czciliśmy ten fakt biciem aluminiowych łyżek o aluminiowe talerze. Oczywiście, oprócz odpowiedniej opłaty, za posiłki trzeba było oddać do stołówki swoje kartki żywnościowe. Jeśli coś wybierałem na kartki bezpośrednio dla siebie, to w studenckim konsumie przy Curie-Skłodowskiej obok mostu Zwierzynieckiego. Nawiasem mówiąc, kartki żywnościowe zlikwidowane zostały dopiero w 1948 roku.

Na wszystkie ważniejsze święta i często w niedziele jeździłem do rodziców do Kępna. Oprócz radości widzenia się z najbliższymi i możliwości podzielenia się swoimi problemami i osiągnięciami, to jeszcze mama ugaszczała mnie po królewsku. Świetnie gotowała, prowadziła treściwą, małopolską kuchnię. Jej szczególną specjalnością było przygotowywanie pierogów, wypiekanie różnych ciast, faworki, pączki. Zaś przy wyjeździe byłem zawsze bogato obdarowywany różnymi specjami i wiktuałami z ogródka, kurnika, czy chlewika.

Wzorem lat przedwojennych na uczelniach w kraju funkcjonowała samorządowa organizacja studencka pod nazwą „Bratnia Pomoc”, która we Wrocławiu zajmowała spory budynek przy Parkstrasse niedaleko Parku Szczytnickiego. Mówiło się na nią skrótowo „Bratniak”. Otóż prowadziła ona stołówki, gabinety lekarskie, organizowała wypoczynek, sport studencki itp.

Nie pamiętam, abym korzystał z jakiegś pomocy lekarskiej, z wyjątkiem dentystrycznej. W tym zakresie ja, a raczej moje zęby, wymagały nieustannych zabiegów. Rwanie, plombowanie, korony srebrne i złote, do których się dopłacało, raz nawet miałem resekcję korzenia, co było średnio poważną operacją. Rzecz jasna, że sprzęt medyczny, wówczas stosowany, znacznie odbiegał od dzisiaj używanego. Na przykład, wiertła dentystryczne napędzane były nożnym kołowrotkiem.

Na Wydziale Architektury mieliśmy własną organizację studencką Związek Słuchaczy Architektury. Zarząd wybraliśmy zaraz na początku roku szkolnego. Ja wszedłem do niego jako kierownik Sekcji Wydawniczej. I tak już zostało przez cztery lata studiów.

ZSA zajmował się głównie organizacją pracy dla studentów Wydziału, rozprowadzaniem skryptów i różnych wydawnictw, samopomocą finansową, urządzaniem wycieczek i innych form wypoczynku, organizowaniem corocznych bali architekta i prowadzeniem własnego sklepu z materiałami piśmienniczymi. Prace te realizowane były w ra-

mach sekcji: zapomogowej, kulturalnej, wycieczkowej oraz wydawniczej, liczących po kilku członków. Bardzo ofiarnie i efektywnie pracował zwłaszcza ścisły Zarząd Koła, którego skład utrzymywał się prawie niezmienny przez okres czterech lat studiów. Stanowili go prezes Kazimierz Kabat, sekretarz Tadeusz Larek, skarbnik Zygmunt Dmowski oraz, między innymi, członek Zarządu Jerzy Lorenz.

W sekcji wydawniczej prowadziłem kolportaż wydawnictw i skryptów z zakresu architektury, również wydruk różnych informacji, zawiadomień, biletów na imprezy itp. Dysponowaliśmy maszyną do pisania, powielaczem ramowym i innym pomniejszym sprzętem biurowym. Wszystko to, wraz ze stołami i szafami, mieściło się w pokoju organizacyjnym przy sklepiku z materiałami piśmiennymi.

Najpoważniejszym skryptem, jaki kolportowaliśmy był tzw. „Neufert”, to jest podręcznik-album projektowania architektonicznego, tłumaczony z języka niemieckiego i z nowymi rysunkami, opracowywanymi przez studentów Wydziału Architektury w Krakowie. Skrypt wydawany był sukcesywnie w zeszytach przez wiele miesięcy. Po skompletowaniu wszystkich zeszytów, przeprowadziliśmy, dla chcących, oprawę całości w twardych okładkach.

Natomiast ten sklep z materiałami piśmiennymi, świetnie zlokalizowany na rogu ul. M. Curie-Skłodowskiej i C. Norwida, dawał nam dochody na wszelką działalność ZSA. Największym przedsięwzięciem, jakie prawie co roku, urządzaliśmy były reprezentacyjne Bale Architektury. Były one wizytówką Politechniki, podobnie jak Bale Medyka były wizytówką Uniwersytetu i znaczącym wydarzeniem kulturalnym we Wrocławiu. Opiszę później jedną z tych, zakrojonych na wielką skalę, imprez, jaka odbyła się w 1949 roku.

Ale na pewno największe znaczenie dla nas, studentów Wydziału Architektury, miało utworzenie z inicjatywy ZSA Spółdzielni Pracy Biuro Architektoniczne „Arkady”. Ta spółdzielnia pozwalała nam przez cały czas studiów pracować zarobkowo w wolnym od nauki czasie. Osobiście w kolejne ferie letnie i zimowe zarabiałem tyle, że starczało mi pieniędzy na całoroczne utrzymanie się, wynajem pokoju, zakup ubioru, książek, na teatr, kino itd. Spółdzielnia była dobrze wyposażona, prowadzona bezpośrednio przez zatrudnioną sekretarkę. Kierownictwo sprawował sam prezes ZSA kol. K. Kabat, który starał się skutecznie o dobrych, solidnych pracodawców.

Nasze studenckie zebrania w ZSA bywały nieraz bardzo burzliwe. Pamiętam sytuacje, gdy dyskutanci wskakiwali na krzesła i stoły, by dobitniej przedstawić swe racje. Celem ostudzenia rozpalonych głów, czasami do dyskusji „włączał się” wtedy nasz kolega Tadek Z., który swym doniosłym barytonem odśpiewywał jakieś arie operowe.

W styczniu 1947 r. odbyły się powszechne wybory do Sejmu.. Rządzące partie PPR i PPS wraz z kilkoma pomniejszymi utworzyły jednolity blok wyborczy nr 3. Liczącą się opozycję stanowiło tylko mikołajczykowskie PSL. Tym razem agitacja przedwyborcza była znacznie mniejsza niż w przypadku referendum z czerwca 1946 r. Na korzyść partii rządzących działały bowiem bardzo dobre rezultaty gospodarcze, szybki rozwój oświaty i służby zdrowia, osiągnięcia w zwalczaniu analfabetyzmu, odbudowa kraju. Władze agitowały natomiast za manifestacyjnym, zbiorowym głosowaniem na listę nr 3. W znacznej mierze głosowanie tak właśnie przebiegało: z transparentami, orkiestrami, przy bardzo dużej frekwencji.

W 1947 r. nadal chodziłem na wszystkie nowe przedstawienia operowe. Również prawie co tydzień do któregoś z kin, których funkcjonowało już we Wrocławiu kilka. Grane były wtedy już pierwsze polskie filmy fabularne, zrealizowane po wojnie. Filmem numer 1 były „Zakazane piosenki” o okupacyjnej Warszawie. Kolejnymi były komediodramaty „Skarb” i „Jasne łany” o elektryfikacji wsi. Przy czym, po prawdzie, do kina chodziło się nie tylko na seansy filmowe, ale także, a może głównie, dla obejrzenia nowej cotygo-

dniowej kroniki filmowej, serwującej aktualne wydarzenia na świecie, niczym dzisiejsza telewizja.

Byłem też na jakiejś dużej imprezie w bieżąco remontowanej Hali Ludowej. W pewnym momencie rozległ się łoskot i potężny huk, po czym w lewym rogu hali wyrósł słup kurzu. To spadł blok betonowy, jaki oderwał się z dachu hali. Powiało grozą, bo na sali było kilka tysięcy ludzi. Ale nikomu się nic nie stało, gdyż tylko środek hali był zajęty. Cała hala mogła pomieścić nawet do 40 tysięcy ludzi na stojąco.

W tej Hali Ludowej po raz pierwszy byłem już w 1945 roku. Na jej środku znajdowały się wtedy drewniane fragmenty wielkiego, okrągłego, rowerowego toru wyścigowego. Leżały też wszędzie jakieś ażurowe konstrukcje stalowe. Takich konstrukcji wiele było również na placu po przeciwnej stronie ul. Wróblewskiego. Mówiono, że to urządzenia radarowe, jakie w czasie wojny produkowano w dużym baraku obok Ogrodu Zoologicznego.



Hala Ludowa. Stan obecny

W czerwcu rozpoczęła się sesja egzaminacyjna. Trwała bodajże do końca lipca. Nie było wówczas żadnego obowiązku zdawania egzaminów na bieżąco. Często zdarzało się, że studenci zdawali egzaminy z pierwszego roku nawet po czterech latach, po formalnym ukończeniu studiów. Jednakże większość starała się zmieścić w bieżącej sesji możliwie z największą ilością wykładanych przedmiotów. Ja do połowy lipca zaliczyłem ćwiczenia i zdałem wszystkie egzaminy z semestru zimowego i większość z semestru letniego.

W ogóle, jako pierwszy, zdawałem matematykę już w pierwszym dniu sesji egzaminacyjnej 30 czerwca. Byłem pewny najlepszej oceny, zdawałem właściwie bez tremy, co mi się bardzo rzadko zdarzało - i otrzymałem stopień dobry. Dobra nauuczka za zbyt nie zadufanie.

Nie mniej rozczarowałem się, zdając, również jako pierwszy, egzamin z geometrii wykreślnej. Bardzo uważałem, nie śpieszyłem się zbyt, odpowiadałem powoli drętwym, a logicznym językiem matematycznym, też pewny siebie. Po wyseplenieniu przez ulubionego profesora „plus dobry”, od razu powiedziałem, że zgłoszę się do powtórnego egzaminu po feriach. Na chwilę zaniemówił, po czym zaczął mi tłumaczyć, że to też stopień bardzo dobry. Wówczas nie widziałem w tym uzasadnienia cienia logiki, ale potem, po latach, zrozumiałem racje profesora. Otóż uważał on po prostu, że bardzo dobrze zna geometrię wykreślną tylko on sam. Natomiast swych uczniów nagminnie oblewał, zdawali po kilka razy i byli zadowoleni, jeśli uzyskiwali ocenę dostateczną. Dopiero po czterech latach trafiły się pierwsze i jedyne stopnie bardzo dobre. Otrzymali je moi koledzy z roku A. Krzywicki oraz R. Tunikowski, późniejszy główny projektant Placu T. Kościuszki we Wrocławiu. Ale oni byli już wtedy asystentami prof. Dyby.

Z przyjemnością wspominam egzamin z petrografii, nauki o kamieniach. To bardzo ciekawa nauka, taka trochę niecodzienna. Idzie sobie człowiek górskim szlakiem i nie widzi kamieni, tylko jakieś granity, porfiry, sjenity, czy dioryty. Zaś egzamin polegał właśnie na prawidłowym nazwaniu i opisaniu właściwości kilku kamieni, wskazanych przez egzaminatora z pośród setek innych, zapelniających gabloty dużej sali.

Od połowy lipca, po pracowitych egzaminach - wreszcie 2,5 miesięczne ferie letnie.

Nareszcie można było odsapnąć od nauki, ale też i coś zarobić, bo w kieszeni płucho, a może i dziury, którymi wyciekły wszystkie oszczędności.

Akurat ogłoszenia wzywały studentów do pomocy w walce z kornikiem-drukarzem, niszczącym piękne lasy masywu góry Sobótka. Fantastycznie, tego mi było trzeba. Plener, świeże powietrze, dobra zapłata i wczasy za jednym zamachem. Pojechałem w dwójkę, jeszcze z jednym kolegą z mego roku. Sobótka to mała miejscowość, również nazwa samotnego, górskiego masywu, zwanego także Ślężą, leżącego około 30 kilometrów na południowy zachód od Wrocławia, na Przedgórzu Sudeckim.

Zamieszkaliśmy w obszernej leśniczówce tuż u stóp góry. W sumie nasza studencka ekipa ratunkowa liczyła kilkadziesiąt osób, przybyłych z różnych uczelni, nie tylko z Wrocławia. Kierowali nami leśnicy, którzy od razu zapędzili nas do roboty. Polegała ona głównie na obcinaniu gałęzi i korowaniu pni ściętych świeżo drzew. Drzewa cięła piątą ekipą drwali, którym też, zdaje się, pomagała grupa studentów, ale to była inna „parafia”. Wycinki odbywały się pasami, aby zagrozić drogę wrednym kornikom. Pojedynczy kornik, to taki maleńki, brązowy chrząszczyk, wyglądający raczej sympatycznie i całkiem niewinnie. Tyle, że te miłe, na oko, owady nie występują w pojedynkę, lecz w wielkiej kupie na raz, w milionach egzemplarzy. Tak normalnie ich na drzewach nie widać, ale kłębią się pod korą. Drażą z lubością tysiące chodników w drewnie, zwłaszcza drzew iglastych, i w krótkim czasie uśmiercają swoje strzeliste, dumne ofiary. Przez ostatnie 2-3 lata zaniedbano jednak systematycznej walki z tym szkodnikiem i w 1947 r. zagroził on istnieniu starego, pięknego drzewostanu sosnowego i świerkowego masywu Sobótka.

Te gałęzie i korę paliliśmy, oczywiście wraz z leśną „szarańczą”, na wielkich ogniskach, w odpowiedniej odległości od innych drzew. Mieliśmy dużą wydajność w pracy, acz chyba nie zachowaliśmy wystarczającej ostrożności z ogniem, bo zdarzył się pożar. Może winni byli cieśle, gdyż pierwsze zaczęły palić się ścięte drzewa na przecince.

Była upalna pogoda już przez kilkanaście dni, nic więc dziwnego, że pożar robił szybkie postępy. Do gaszenia ognia przystąpili wszyscy, kto żył w najbliższej okolicy. Palenie się koron zostało szybko opanowane przez ścięte palących się drzew, ale zwalczanie pożaru podszycia i ściółki wydawało się syzyfową pracą. Mianowicie Sobótkę pokrywają duże głazy kamienne i ogień ugaszony u góry, tlił się dalej pod kamieniami i, ni stąd ni zowąd wybuchał płomieniem w miejscach, jakie uważaliśmy już za bezpieczne. Nie dysponowaliśmy niestety wodą, żeby podlać ją pod głazy, gasiliśmy ogień jedynie wiechciami gałęzi. Na szczęście, trzeciego dnia spadł ulewny deszcz. Zmokliśmy wszyscy potwornie, lecz pożar mieliśmy wreszcie z głowy.

Posiłki jadaliśmy na miejscu, w leśniczówce lub donoszono nam je do lasu. Spaliśmy pokotem na siennikach, głowa przy głowie, we wszystkich pomieszczeniach piętrowego budynku.

W ekipie studenckiej była tylko jedna odważna dziewczyna, jeśli nie liczyć kucharzek i żony leśniczego. O dziwo, plątała się ona za mną. Mianowicie potraktowałem kontrakt leśny faktycznie urlopowo i przywoziłem ze sobą spory blejtram oraz farby olejne, żeby namalować jakiś pejzaż. W niedzielę i wolne chwile siadałem z tym płótnem na ścieżce niedaleko leśniczówki i malowałem rozległy widok na las i góry. Nasza solistka opalała się obok i od czasu do czasu kontemplowała obrazek. Być może, że czuła się też bezpieczna w moim towarzystwie.

W naszej ekipie wyróżniał się tylko jeden starszy kolega, chyba zresztą nie był studentem. Chodził w bryczesach oraz oficerkach i zapewne dlatego mówiło się na niego „ten oficer”. Szpanował, dyrygował, opowiadał swe bodaj partyzanckie przygody, ale nie wyglądał na takiego, który kiedykolwiek proch wachał, zaś robotą to się wyraźnie brzydził.

Wreszcie pod koniec wielotygodniowej mitręgi przyszła pora na zainkasowanie należnego wynagrodzenia. Pieniądze miały być wypłacone we Wrocławiu i pojechał po nie jeden z naszej ekipy w asyście tego oficera. Daliśmy im wszyscy pisemne upoważnienia odbioru wypłat. Pamiętam do dziś, że ten nasz delegat nazywał się Żuczkiwicz, a zapamiętałem dlatego, iż nigdy już ani jego, ani tego oficera, ani moich pieniędzy nie zobaczyłem. Podobnie jak cała reszta leśnej ekipy.

Tego lata stenografowałem jeszcze dwa większe zjazdy. Były to Zjazd Osadników Wojskowych Ziem Odzyskanych i Zjazd Sądownictwa Dolnośląskiego. Oba trwały po kilka dni. Pierwszy miał miejsce w świeżo odnowionym biurku przy Placu Wolności, a drugi w gmachu Sądu Wojewódzkiego, odbudowywanego jeszcze przez długie lata.

Wykonywałem też, w ekipie kilku moich kolegów, rysunki inwentaryzacyjne częściowo zniszczonej fabryki silników lotniczych na Psim Polu, przedmieściu Wrocławia. W szczególności wykonywałem obmiary i rysowałem plany inwentaryzacyjne wielopiętrowego gmazyska o długości 240 metrów. Była to praca zorganizowana w ramach naszej studenckiej spółdzielni pracy „Arkady”. Oczywiście za te prace otrzymałem spore wynagrodzenie, jakie w większości wpłaciłem na swe konto oszczędnościowe w PKO.

W 1947 r. we Wrocławiu, zwłaszcza w rejonie Sępólna, zaistniała plaga komarów. W Parku Szczytnickim znajdowało się kilka bezodpływowych stawów. Nieczyszczone przez wiele lat stały się wylęgarnią komarów, które wściekle atakowały okoliczne osiedla. Na Sępólnie, na przykład, nie można było spać przy otwartych oknach. Podobnie rozmnożyły się komary w fosach, okalających Starówkę. Fosa te pokrywała gęstym kożuchem drobna, zielona rzęsa, a fetor gnilny rozprzestrzenił się wokół na dziesiątki metrów. Chyba dopiero w 1948 r. udrożniono wszystkie przepusty między poszczególnymi odcinkami fos oraz odtworzono przepływ wody. Natomiast powierzchnia wód oczyszczona została z zielska. Podobne roboty na stawach w Parku Szczytnickim pozwoliły ostatecznie na, częściowe przynajmniej, okiełznanie dokuczliwej, latającej plagi.

Na drugim roku studiów wydziału architektury kontynuowane były w dalszym ciągu tylko wykłady z budownictwa ogólnego, historii architektury oraz rysunek odręczny. Przybyło za to wiele nowych przedmiotów bardziej specjalistycznych, jak wytrzymałość materiałów, statyka budowli, budownictwo wiejskie, perspektywa malarska, liternictwo, fotografia i rysunek aktu.

Wykłady z wytrzymałości i statyki, pełne matematyki i obliczeń, były prowadzone wspólnie także dla Wydziału Budownictwa. Duże amfiteatralne sale podczas tych wykładów były zwykle przepelnione, gdyż na ten pokrewny wydział uczęszczało nieco więcej studentów niż na Architekturę. Trochę żałowałem, że nie ma dalszego ciągu wykładów matematyki, która na I roku obejmowała jedynie elementy wyższej matematyki. Natomiast matematyka była kontynuowana w sporym wymiarze na Budownictwie. Zamierzałem więc korzystać z tych wykładów, nawet przemyślałem ewentualność zaliczenia również Wydziału Budownictwa.

Na drugim roku, od biedy, można było pokusić się na równoległe studiowanie obu wydziałów, gdyż sporo godzin wykładowych mieliśmy wspólnych. Potem dodatkowo wystarczająco by przedłużyć studia o 2 lata i miałbym zaliczone dwa fakultety. Były to oczywiście przymiarki nierealne i bezsensowne. Tym nie mniej prawie połowę semestru zimowego chodziłem dodatkowo na wykłady matematyki wyższej na drugim roku Wydziału Budownictwa.

Na wykładach z budownictwa wiejskiego i architektury I uczyliśmy się całkiem serio metod budownictwa drewnianego, w tym, na przykład, stosowania na krycie dachów drewnianych gontów i dranic. Zwłaszcza w tych gontach lubował się nasz wykładowca

prof. T. Brzoza, sam Góral z pochodzenia. Oczywiście nigdy później w praktyce, jako projektanci, nie mieliśmy do czynienia z tymi staroświeckimi materiałami dekarскими. Zastąpiły je bezpowrotnie dachówka ceramiczna, blacha ocynkowana, eternit i „nieśmiertelna” papa na lepiku.

Nie było już geometrii wykresłej, zaś prof. K. Dyba wykładał jedynie perspektywę malarską. Zaproponował mi wówczas asystenturę na jego katedrze geometrii wykresłej. Mimo, że propozycja była dla mnie nęcąca, po zastanowieniu się odpowiedziałem odmownie. Mianowicie istniały lepsze możliwości zarobkowania w naszej studenckiej spółdzielni pracy, nie miałem też absolutnie żadnych ambicji kariery akademickiej na uczelni.

Na tle coraz bardziej specjalistycznych przedmiotów nadal błyszczały wykłady z historii architektury powszechnej prof. T. Broniewskiego. Były to już jedyne wykłady, na których mogłem jeszcze korzystać ze swej umiejętności stenografowania. W innych przedmiotach za dużo było cyfr, wzorów i specjalistycznych określeń.

Postanowiłem więc wówczas wydać zarobkowo skrypt z jakichś wykładów na Wydziale Medycyny. Był to wydział najludniejszy, no i tam zapewne nie używano żadnych cyferek i wzorów. Żeby się zorientować, na ile byłoby to możliwe - poszedłem na jeden wykład na nieodległą ul. Norwida, gdzie dziś mieści się Akademia Rolnicza. Rzeczywiście liczb w wykładzie nie było, ale za to tyle autentycznej łaciny, że w połowie lekcji ulotniłem się z sali wykładowej.

Do grudnia zaliczyłem sesję ćwiczeń i zdałem zaległe egzaminy z letniego semestru pierwszego roku studiów. Miałem więc pod tym względem wyjątkowo czyste konto. Zapewne sądziłem też wówczas, że tą przyjemną praktykę bieżącego zdawania egzaminów będę mógł kontynuować. Stało się jednakże inaczej.

Mieszkałem nadal u swej siostry na Sępolnie, stołowałem się w stołówce akademickiej, leczyłem zęby i chodziłem do klubu szachowego przy Akademickim Związku Sportowym, aby sobie pograć w tę ulubioną grę. Zdarzyło się, że rozegrałem, przy jakiejś okazji, jedną partię z ówczesnym szachowym mistrzem Polski. Gra trwała kilka godzin, gdyż obaj długo namyślaliśmy się, i skończyła się remisem. Oczywiście poczytywałem sobie to za wielki sukces. Miał być rozegrany później rewanż, ale nie doszedł jednak do skutku.

Za to wzięłem udział w finałowym spotkaniu Klubu AZS z Klubem Kolejjarza, najsilniejszym klubem we Wrocławiu w tej wdzięcznej dyscyplinie szachowej. Grałem na drugiej szachownicy i swoją partię wygrałem. Uwzględniając jednak wszystkie 10 szachownic, na jakich rozegrano spotkanie - to AZS został przez Kolejjarza pokonany.

We Wrocławiu w latach 1947-48 bardzo wiele się działo. Przede wszystkim remonty i wszelkiego rodzaju roboty budowlane prowadzone były w mieście na niezliczonych wprost placach budów. W dużym stopniu związane to było niewątpliwie z wyznaczonym na lipiec 1948 roku terminem otwarcia Wystawy Ziem Odzyskanych. Miała ona być podsumowaniem wielkiego dzieła odbudowy, dokonującego się na tych ziemiach, przyłączonych po wiekach do Polski. Faktycznie, obok odbudowy Warszawy, zagospodarowanie nowych terenów zachodnich, realizowane przez specjalnie utworzone w tym celu Ministerstwo Ziem Odzyskanych, było głównym przedmiotem działań władz i całego społeczeństwa polskiego. Zyskiwał na tym szczególnie Wrocław.

Wysiedlenie ludności niemieckiej w zasadzie zostało już zakończone. Zostali tylko fachowcy i specjaliści od przemysłu i gospodarki komunalnej, wraz ze swymi rodzinami. Pozostała też cała ludność autochtoniczna, jak wtedy nazywało się mieszkańców Ziem Zachodnich pochodzenia polskiego. We Wrocławiu było ich jedynie kilka tysięcy, lecz w Opolskim, na Górnym Śląsku i na Mazurach ludność autochtoniczna liczyła około milio-

na osób. Skończyła się też pierwsza duża fala repatriacji Polaków ze Wschodu, czyli jak się wówczas mówiło „zza Buga”. Było to prawie półtora miliona dusz. Odbывała się reemigracja kilkuset tysięcy Polaków z Francji, Belgii i Niemiec. Wreszcie na Dolnym Śląsku osiedliło się kilkanaście tysięcy Greków, uciekinierów z Grecji, objętej wojną domową.

Jednak najwięcej nowych osiedleńców na Ziemi Zachodnie przybyło z centralnej Polski. Proces ten trwał w 1947 i 1948 r. i ostatecznie objął ponad 3 miliony ludności. Wrocław w końcu 1948 r. liczył już około 250 tys. mieszkańców, głównie ludności polskiej. Było wśród nich około 100 tysięcy repatriantów zza Buga, głównie ze Lwowa oraz trzech byłych południowo-wschodnich województw. Można ich było stosunkowo łatwo rozpoznać, zwłaszcza ludzi starszych, po charakterystycznym miękkim, śpiewnym akcencie. Na przykład znakomitą część profesury uczelni wrocławskich stanowili wykładowcy wyższych szkół przedwojennego Lwowa. Również kadry nauczycielskie szkół średnich i podstawowych, lekarze, aptekarze, sędziowie oraz pisarze, zamieszkali i pracujący we Wrocławiu, przybyli w większości z południowo-wschodnich kresów II Rzeczypospolitej.

We Wrocławiu znalazła się również niemała grupa mieszkańców moich Monasterzysk. Byli wśród nich moi dwaj wujowie, także nasi sąsiedzi pp. Skrzypkowie, z którymi wyjechaliśmy w 1944 r. do Jordanowa, kilku kolegów i koleżanek mojej siostry z ich szkolnej „paczki”. Oczywiście, wszyscy krążyli na swych własnych życiowych orbitach. Urządzali się, pracowali w swych własnych, czy nowych zawodach, wielu uczyło się intensywnie, zakładało swe nowe rodziny.

We Wrocławiu znaleźli się też moi dwaj koledzy szkolni, o których dowiedziałem się później ze względu na specyficzne okoliczności im towarzyszące. Mianowicie mój najlepszy kolega z Monasterzysk Jurek Kruszka studiował na Wydziale Medycyny UW. Przeczytałem kiedyś w gazecie, że będąc bodaj na drugim roku studiów, popełnił samobójstwo. Nie wiem nawet, co było tego przyczyną. Być może zawiedzione sprawy sercowe, gdyż Jurek był człowiekiem bardzo wrażliwym. Natomiast inny mój kolega z VIIa był później przez wiele lat wojewodą wrocławskim.

Można śmiało powiedzieć, że Wrocław tamtych lat był jakby kotłem, w którym wrzało i kipiało i kształtowała się nowa polska już przyszłość tego wielkiego ośrodka miejskiego.

Do 1948 r. zlikwidowany został niestawny „symbol” polskości we Wrocławiu, to jest ostawiony szaberplac na Placu Grunwaldzkim. Handelek uliczny tlił się jeszcze tylko na części tego placu od strony mostu Grunwaldzkiego. Zaś główne centrum handlowe miasta rozwinęło się w rejonie ul. Mathiasstrasse, późniejszej ul. J. Stalina, obecnej ul. Jedności Narodowej. Ale to był już handel oparty w dużej części o sieć funkcjonujących tam sklepów.

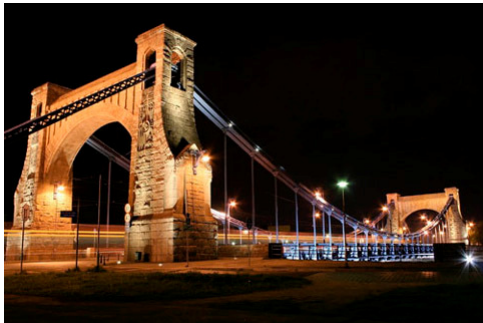
Aktualnym zaś symbolem odbudowy Wrocławia stały się odbudowy Ratusza Staromiejskiego, Powszechnego Domu Towarowego przy ul. Świdnickiej, gmachu Urzędu Wojewódzkiego oraz Mostu Grunwaldzkiego.

Most po uszkodzeniach wojennych funkcjonował wprawdzie już dwa lata, ale tylko dla ruchu pieszego i wymagał gruntownego remontu. Jest to stalowy, ponad stumetrowy most wiszący o oryginalnym



Ratusz śródmiejski. Stan obecny

nalnej konstrukcji. Aby nie demontować całego mostu, jezdnię podparto rusztowaniami z masywnych bali drewnianych, ustawionych na dnie rzeki i na zatopionych barkach.



Następnie dopiero zdemontowano całą stalową konstrukcję zwieszakową, wraz z dwoma nosnymi pasami, zawieszonymi na kamiennych pylonach. Również rozebrano, już na stałe, górne fragmenty samych pylonów, zmieniając w ten sposób wydatnie architekturę mostu. Między innymi, przy okazji, zlikwidowano pruskie orły wykute w kamiennych nadbudówkach. Odbudowa mostu stanowiła swego rodzaju atrakcję dla mieszkańców, którzy tłumnie przybywali w niedziele, aby śledzić postęp robót.

Most Grunwaldzki nocą, Stan obecny

Most Grunwaldzki nie był jedynym wyróżnikiem Wrocławia. W mieście było sporo obiektów unikatowych, lub też największych w skali całej ówczesnej Polski. Wśród unikatowych można by wyliczyć jeszcze: Aulę „Leopoldinę”, z przebogatym barokowym wnętrzem, w budynku głównym Uniwersytetu; piętrowy, gotycki kościół Św. Krzyża przy Placu Biskupim; miniaturowe kamieniczki „Jaś i Małgosia” przed ogromnym kościołem Św. Elżbiety; ogród japoński w Parku Szczytnickim z egzotycznymi gatunkami roślin, a także wiele innych obiektów i budowli.

Natomiast do największych w skali całego kraju należały:

- Hala Ludowa (Stulecia) w formie żelazobetonowej kopuły o średnicy 130 m;
- Stadion Olimpijski z rozległym kompleksem boisk i obiektów sportowych;
- Ogród Zoologiczny, po powiększeniu o tereny wystawowe WZO;
- 6-piętrowy Dom Towarowy z ceramiczną fasadą przy ul. Świdnickiej;
- Dworzec Główny PKP w stylu neogotyckim;
- gmazysko Urzędu Wojewódzkiego.

Również w zakresie obiektów przemysłowych dało by się zapewne wskazać kilka największych w skali ówczesnej Polski.

W stosunku do wszystkich innych miast polskich - we Wrocławiu było też najwięcej kościołów oraz mostów i wiaduktów. Pod względem ilości kościołów Wrocław przewyższał nawet nieco Kraków, przy czym sporo z nich zaliczyć można również do największych i najstarszych obiektów sakralnych w Polsce. Zaś kilka z wrocławskich mostów może być przykładem oryginalnych konstrukcji stalowych w skali europejskiej i światowej.

Ponad to we Wrocławiu jest szczególnie dużo terenów wodnych: rzeki, kanały, stawy, fosy oraz wysokiej zieleni: parki, wielki Ogród Botaniczny, ZOO, duże cmentarze, ogrody.

Wszystkie te elementy miastotwórcze sprawiały, iż Wrocław był przez swych nowych mieszkańców podziwiany i ceniony. Równocześnie bardzo szybka odbudowa i porządkowanie całej infrastruktury miasta wzmagały powstawanie emocjonalnych więzi mieszkańców z miastem, wpływając na kształtowanie się wyraźnego, lokalnego, wrocławskiego patriotyzmu. Po prostu Wrocław dał się lubić i nowi jego mieszkańcy stawali się szybko, w swej masie, obywatelami tego wielkiego, pięknego ośrodka miejskiego.

Znakomita ich część bardzo szybko zaakceptowała i pokochała Wrocław, jakby jakąś naturalną, ojczystą schedę. W ten sposób, w krótkim czasie kilku lat, ukształtowało się pierwsze, patriotyczne pokolenie Wrocławianów. Chyba to samo można było powiedzieć o całych, odzyskanych po wiekach, Ziemiach Zachodnich, na których kończyła się już 3-letnia, największa wędrówka ludów w XX wieku w Europie.

Na początku roku szkolnego 1947/48 miał miejsce wiec studencki w Hali Ludowej. Związany był z inauguracją roku akademickiego. Między innymi, podczas wiecu odczytana została rezolucja potępiająca interwencję zbrojną Francji w Wietnamie i Laosie, zaś Holandii w Indonezji. W obu tych krajach wyzwolenie ruchy narodowościowe proklamowały w 1945 r. niepodległość państwową po kapitulacji okupującej je Japonii.

Wojny trwały również na półwyspie indyjskim, w Chinach, w Azji pld. zachodniej i w Afryce Można powiedzieć, że po II wojnie światowej bynajmniej spokojnie na świecie nie było. Wielkie problemy miały dotychczasowe mocarstwa kolonialne W. Brytania, Francja i Holandia. Zdrzutowane były Niemcy i Japonia. Związek Radziecki, potwornie zniszczony, stawał przed ogromnymi zadaniami odbudowy. Tylko USA, z pośród liczących się państw świata, wyszły z wojny ze znacznie wzmocnioną gospodarką i stały się politycznym i gospodarczym supermocarstwem. I oto w 1947 roku pomiędzy dotychczas wzorowymi sojusznikami wojennymi zaczęły się mnożyć napięcia i podejrzliwość o wrogie zamiary. Na określenie tego stanu przyjął się termin „zimna wojna”, którą to nazwę pierwszy wprowadził polityk amerykański B. Baruch w swym przemówieniu w Columbii w IV 1947 r.

Polskie środki przekazu podkreślały głównie wystąpienia Churchilla w Fulton oraz sekretarza stanu USA J. Byrnesa w Stuttgarcie w 1946 r., gdyż dotyczyły one bezpośrednio polskiej racji stanu. W tym ostatnim zasugerowana została Niemcom możliwość rewizji uchwał poczdamskich i jałtańskich w sprawie zachodniej granicy Polski na Odrze i Nysie Łużyckiej.

Polska ewidentnie wpisana została przez naszych dotychczasowych zachodnich przyjaciół na listę wrogów, natomiast miejsce beniaminka Zachodu w Europie, podobnie jak po pierwszej wojnie światowej, zajęły Niemcy Zachodnie. Stało się to, czego obawiał się E. Osmańczyk w swych „Sprawach Polaków”, tylko z innych przyczyn, niż przewidywał.

Nastąpił wkrótce podział świata na dwa przeciwstawne sobie obozy państw. Jednemu przewodziły Stany Zjednoczone, drugiemu ZSRR, które zaczęły rywalizować o hegemonię na świecie. Ten podział dokonał się również w zróżnicowanym nazewnictwie powstałych bloków. Nasza prasa pisała o obozach demokratycznym i imperialistycznym, zaś według prasy zachodniej świat dzielił się na blok państw komunistycznych i „Wolny świat”.

Kielkująca zimna wojna między mocarstwami światowymi przenikała i na grunt Polski. Zaowocowała w kraju przede wszystkim nowymi terminami, wymarzonej przez niektórych, „trzeciej światowej”. Tym razem miała być ona okraszona bombkami atomowymi, świeżo wypróbowywanymi na Pacyfiku na atolu Bikini.

Zagościła również do małego kościółka w Parku Szczytnickim, do którego niekiedy chodziłem na msze niedzielne. Oto ksiądz proboszcz poczęstował wiernych kazaniem o rozpuszczeniu, prześladowaniu Kościoła w Polsce i o „czerwonych diabłach”. Gdy te czerwone diabły powtórzyły się kilka razy - wyszedłem z kościółka, żegnając się z Kościołem na zawsze. Oczywiście to jątrzące, polityczne kazanie było jedynie przysłowiową kroplą, jaka przelała kielich gorczy. W kieliszku było już wiele innych kropel, sączonych do niego przez lata:

- w 1933 r. państwo Watykan, jako jedno z pierwszych, uznało hitlerowską III Rzeszę, a w VII 1933 r. zawarło z Niemcami konkordat na bardzo dogodnych dla Hitlera warunkach;

- w 1935 r. Papież Pius XI błogosławił wojska faszystowskich Włoch, wyprawiające się na podbój Abisynii;

- w 1936 r. Kościół poparł prawicowy pucz gen. Francisco Franco przeciw legalnym

władzom republikańskiej Hiszpanii i przez cały czas krwawej wojny domowej współpracował i wspierał go efektywnie;

- Pius XII nie potępił agresji niemieckiej na katolicką Polskę we wrześniu 1939 r., za to już w grudniu 1939 r., łamiąc konkordat zawarty z Polską w 1925 r., mianował biskupów niemieckich Spletta z Gdańska i Breitingera z Wrocławia administratorami polskich diecezji, przyłączonych do III Rzeszy;

- Watykan oficjalnie i żarliwie popierał Hitlera we wszystkich jego agresywnych działaniach. Inwazję na Rosję papież uczcił orędziem, wieszcząc rychły triumf Niemiec w walce o „obronę zrębów chrześcijańskiej kultury”;

- w latach 1939-45 Kościół współdziałał z faszystowską organizacją ustaszowców Ante Pavelića w Chorwacji. Ustasze, u boku Niemiec zwalczając partyzantów Tita, przy okazji wymordowali 800 tys. prawosławnych Serbów w Jugosławii;

- przez cały okres wojny Watykan nie zdobył się na słówko potępienia zbrodni hitlerowskich w katolickiej Polsce i innych krajach okupowanych;

- natomiast w 1946 r. Pius XII potępił Polskę za akcję przesiedlania Niemców do zachodnich stref okupacyjnych, prowadzoną na mocy decyzji zwycięskich mocarstw w Poczdamie.

W taki oto sposób Kościół, dzięki własnym usilnym staraniom, stracił jedną owieczkę, a właściwie baranka, ze swej licznej trzody wiernych. To pożegnanie się z mistyczną wiarą katolicką spowodowało w ogóle przemeblowanie mego światopoglądu na jednoznacznie materialistyczny.

Pomogła mi w tym lektura licznych książek o tematyce społeczno-politycznej i historycznej. Przeczytałem wtedy między innymi także kilka broszur i książek Lenina, a nawet przymierzyłem się do „Kapitału” Karola Marksa. Ale pojęcia wartości dodanej, przemiany pieniądza w kapitał czy akumulacji pierwotnej nie mieściły się w mej ograniczonej głowie i utknąłem ostatecznie na pierwszym rozdziale epokowego dzieła brodatego filozofa.

Ponieważ okres wojenny do 1944 r. spędziłem na kresach wschodnich, więc byłem obserwatorem tragicznych stosunków polsko - ukraińskich, jakie tam wówczas miały miejsce. Nic dziwnego, że interesowałem się również i po wojnie dalszym przebiegiem tego dramatu, który rozgrywał się już w nowych granicach naszego kraju. Otóż jesienią 1944 i wiosną 1945 r. część sotni UPA przeniosła się zza Sanu do województw rzeszowskiego i lubelskiego. Tu kontynuowały one terror i eksterminację ludności polskiej. Swą działalność UPA skoncentrowała głównie na terenie Bieszczad, gdzie zbudowano rozległą sieć bunkrów w lasach i wioskach łemkowskich. Początkowo lokalne słabe jednostki MO, WBW i WOP nie radziły sobie z kurinami UPA, zwłaszcza że równocześnie na terenach wschodnich i górskich województw działały rodzime oddziały WIN i NSZ. Obie te organizacje, występując zbrojnie przeciwko nowotworzonym władzom Polski Ludowej, częściowo współdziałały z lokalnymi strukturami OUN i UPA.

Ale w 1947 r., po zastrzeleniu 28 marca w zasadzce pod Baligrodem generała K. Świerczewskiego, na tereny te skierowano dodatkowe jednostki WP. W ramach przeprowadzonej wojskowej akcji pod kryptonimem „Wisła”, w okresie IV - VI 1947 r. rozbite i zniszczone zostały wszystkie kuriny UPA w Bieszczadach. Aby pozbawić je oparcia i zaopatrzenia, wysiedlono też wówczas całą ludność ukraińską z terenów Bieszczad na tereny północnych województw Polski. W wyniku tych działań powojenny rozdział terrorystycznych akcji UPA został w drugiej połowie 1947 r. ostatecznie zamknięty.